



Kryminał z myszką

59

Zautki

Anna

Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ZAŁKI

Kryminał z myszką – Tom 59

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-62-1

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsza publikacja: Ilustrowany Kurier Polski i Kurier Polski (w odcinkach), rok 1964

Rozdział 1

– No, przesuwają się pan, czy nie?

Głos był zaczepny, nerwowy. Niski, łysy pan w ciemnym płaszczu mimo woli obejrzał się. Napotkał niechętnie spojrzenie i ruch ręki, jakby tamten chciał go popchnąć do przodu.

– Przesuńże się człowieku, jak pragnę zdrowia! Śpi pan w kolejce, czy co? Spać można w domu.

Niski jeszcze milczał. Posunął się trochę, choć miejsca było jak na wróbla. Ale tamten się rozgadał.

– Przyjdzie taki do baru, stanie i stoi. Z Grójca przyjechał. Tu nie Grójec, tu stolica. Kolejka idzie naprzód, a ten śpi.

– Cóż się pan mnie uczeplił jak pijany płotu? – niski nie wytrzymał. – Gdzie mam się posunąć? Na głowę tej pani wejść?

Pani z torbą wypchaną jabłkami westchnęła. Chciała coś powiedzieć, ale stała już przed kasą. Położyła drobne na ladzie. Kasjerka bez słowa wydała kwitek na małą kawę, po czym spojrzała pytająco na niskiego pana. Nie chciało jej się mówić, była zmęczona.

– Dużą kawę proszę. I ptysia.

Inżynier Waligórski machinalnie krok za krokiem przesuwał się w kierunku kasy. Rozmowy, kłótnie, śmiech, szcęk łyżeczek, szum ekspresu, przewijały się dokoła niego nie przerywając toku myśli. Przywykł już tak od dawna odseparowywać się wewnętrznie, nie brać udziału w żadnej dyskusji czy sporze – po prostu trwać w rzeczywistości, otulony całkowitą dla niej obojętnością, jak flanelową kołdrą.

Stanął przed kasjerką, powiedział grzecznie: – Poproszę małą kawę – podał odliczone pieniądze. Wziął kwitek i przesunął się w stronę barmanki. Jego twarz o regularnych rysach i oczach pełnych interesującego zamyślenia, ścigała zwykle uwagę kobiet. Najczęściej było mu to obojętne, czasami korzystał z przelotnych znajomości. Był wówczas uprzejmy, w miarę wymagający, przeznaczał na to dokładnie odmierzoną ilość czasu, po czym spoglądał na zegarek i sięgał do portfela. Sprawy pieniężne nie sprawiały mu w ostatnich latach kłopotu.

– Proszę, kawa dla pana...

– Dziękuję.

Przeszedł w dalszy kąt baru, gdzie było mniej osób. Szatniarz przyjmował płaszcze od tych, którzy windą wjeżdżali do kawiarni na szóstym piętrze. Od Hożej ktoś z rozmachem otworzył drzwi, przebiegł oczami po obecnych i znikł. Powiało chłodem kwietniowego wieczoru.

– Proszę drzwi zamykać – mruknął szatniarz nie patrząc. Dawno już prosił kierowniczkę, aby jesienią wejście od Hożej zamknąć na amen albo przynajmniej powiesić pluszową kotarę. Zeszłej zimy wciąż chorował na gardło.

– Przepraszam!

Inżynier Waligórski skrzywił się lekko. Rozlana kawa prysnęła na rękaw jego płaszcza. Wyjął chusteczkę i zaczął ostrożnie ścierać.

– Może ja... Ale to lepiej gorącą wodą. Może ja przyniosę od tej... od tej pani, co robi kawę?

– Nie, dziękuję. Chyba nie będzie znać. Zresztą płaszcz i tak nadaje się do pralni, już dawno miałem oddać.

– Eee, po co tyle płacić? Jest jeszcze czysty.

Mimo woli uśmiechnął się. Dziewczyna stała przed nim z twarzą trochę przestraszoną, trzymając w ręku łyżeczkę umazaną kremem. Jej ruchy były stanowczo zbyt zamaszyste. Duże, ciemnoniebieskie oczy patrzyły na niego z zaciekawieniem. Nieumalowane usta, prosty nos, bardzo puszyste, zupełnie nieuczczesane włosy blond. „Nie więcej niż osiemnaście lat –

pomyślał przelotnie. – Pewnie zdaje w tym roku maturę. W domu jest nieznośna, chodzi ukradkiem do »Hybryd«, w barze próbuje stawiać pierwsze kroki... Cielątko”.

Nie zdawał sobie sprawy, że sądzi ją swoistymi kategoriami. Nie znał zupełnie dzisiejszych „nastolatek”, pamiętał tamte, dawniejsze. Własna czterdziestka z hakiem nie nadawała się do żadnych porównań. Ta młodzież była zupełnie inna. I on, i jemu podobni osądzali ją według tego, co pisały o niej gazety. Nie zawsze był to sąd słuszny, poza tym zmieniał się radykalnie, zależnie od nastroju lub humoru piszącego.

– Pan jest lekarzem? – usłyszał ze zdumieniem.

– Lekarzem? Nie. Dlaczego? Wyglądam na lekarza?

– Tak. Coś takiego.

Roześmiał się. Przyjrzał się jej uważniej. Owszem, ładna dziewczyna. Gdyby ją uczesać, ubrać... Wyjął paczkę „Piastów”.

– Zapali pani?

Zmieszała się lekko, co go rozbawiło. Teraz będzie udawać, że pali od dawna i świetnie to robi.

– Dziękuję. Nie umiem palić.

Zdziwił się. To było coś nowego.

– Za poplamiony płaszcz należy mi się jakaś nagroda – powiedział żartobliwie. – Proszę mi powiedzieć, jak pani na imię?

– Teresa. Po co to panu? I co to za nagroda?

– W takim razie wymyślę inną. Ale to wymaga czasu. Może wobec tego pozwoli się pani zaprosić na górę? – Wskazał oczami windę.

– Tam jest kawiarnia?

– Tak. Nazywa się ślicznie: „Pod gwiazdami”. Widzę z tego, że pani tam jeszcze nie była. A więc?

Zrobiła dwa kroki w stronę windy i nagle cofnęła się.

– No? – spojrzał pytająco. – Co się stało? Boi się pani windy?

– Też coś? – zaczerwieniła się. Poprawiła pasek na granatowym płaszczu z ortalionu. – Nie, dziś nie mogę.

Zastanawiał się przez chwilę. Nie chciał jej urazić.

– Tam nie potrzeba żadnych specjalnych toalet – rzucił lekko – może pani doskonale pójść nawet w sweterku.

– Nie, dziś nie. Kiedy indziej. Jak pan chce rozmawiać, to możemy i tu.

– Na stojąco?

– Nogi pana bolą?

Znów się roześmiał. Odwykł od takiej rozmowy z kobietami. Wszystkie inne certowały się, próbowały go wziąć „na intelekt” i plotły głupstwa albo też udawały księżniczki, według swego o nich wyobrażenia.

– Proszę mi coś opowiedzieć o sobie – rzekł, zapalając papierosa. – Pewnie mam przed sobą przyszlą maturzystkę. Świadectwo dojrzałości w rękę, a potem wielka, całonocna zabawa. Zgadłem?

Patrzyła na niego bez uśmiechu. W tej twarzy było coś, czego nie rozumiał. Może boi się, że nie zda? Pewnie ma kłopoty z matematyką albo z fizyką.

– Zgadłem? – powtórzył. Podobała mu się coraz bardziej, ale chciał jakoś się upewnić, że nie ma do czynienia z nieletnią.

– Tak – odpowiedziała wreszcie. W zamyśleniu zlizywała z łyżeczki resztki kremu. – Zgadł pan. W czerwcu matura.

– A potem? Uniwersytet, czy też nie wybrała pani jeszcze kierunku studiów?

W kącikach jej warg błąkał się dziwny uśmieszek. Oczy pozostawały wciąż poważne, spojrzenie miała teraz jakieś twarde, chłodne.

– Nie wiem jeszcze – odparła swobodnie. – Mam czas na wybieranie.

– Pewnie rodzice zdecydują za panią. I sędzę, że będą mieli rację. Czy nie?

Pomyślał, że wyszło to jakoś bardzo moralizatorsko i skrzywił się. Nie tymi torami chciał prowadzić rozmowę.

– Rodzice? – odwróciła na sekundę głowę w stronę drzwi, jakby patrząc, kto wchodzi. – Oczywiście, to ich sprawa. Coś tam dla mnie chyba wymyślą. A pan? Co pan robi?

Pytanie było obcesowe, trudno było się wykręcić. Zawahał się. O sobie nie chciał w tej chwili mówić. Z drugiej strony jednak, jeżeli wszystko pójdzie po jego myśli, to i tak się dowie. Choćby z tabliczki na drzwiach.

– Ja? No, cóż. Pracuję w fabryce.

Rzuciła krótkie, badawcze spojrzenie na jego ręce.

– Eee, gadanie. Chyba że w administracji.

Ze zdziwieniem stwierdził, że uraziło to jego zawodową ambicję. Do licha, nie powinien przecież przejmować się tym, co gada głupiutka smarkata. A jednak sprostował:

– Nie. Jestem głównym inżynierem. I prowadzę najważniejszy wydział produkcji.

– Ach, tak? – Przynęła się do niego trochę bliżej, w oczach jej błysnęło przelotne zainteresowanie. Zaraz potem spytała jednak obojętnie: – Która godzina?

– Dochodzi siódma. Chyba się pani nie śpieszy?

– Zaraz muszę iść. Siostra... – urwała. – Siostra prosiła, żebym jej pomogła w lekcjach.

– Siostrzyczka w której klasie?

Przez sekundę zdawało mu się, że dziewczyna wybuchnie śmiechem. Trwało to jednak tak krótko, że odrzucił tę myśl, jako niczym nieuzasadnioną.

– W ósmej. Ja już naprawdę muszę iść, proszę pana.

Ujął ją za rękę i głaskał, nieznacznie rozglądając się, czy ktoś nie widzi go w tej niepoważnej sytuacji.

– Powiedz, dziecino, kiedy się znowu spotkamy? Może jutro, o szóstej godzinie, tutaj. Dobrze?

Widział jej wahanie i zaczęło mu na niej naprawdę zależeć. Ta dziewczyna miała w sobie coś bardzo pociągającego. Pomyślał, że jeśli się zgodzi przyjść do mieszkania, trzeba będzie kupić jej jakiś mały prezent. Nie pończochy, coś subtelniejszego. U „Jubiler” widział zupełnie ładną i niedrogą sztuczną biżuterię. Ładny wisiołek czy bransoletkę. Żeby tylko umiała zachowywać się rozsądnie.

Wyrwała mu rękę i wsunęła w kieszeń płaszcza.

– Ludzie patrzą – mruknęła zaczerwieniona. – Nie wiem, czy jutro będę mogła. Ale postaram się. Pan naprawdę jest inżynierem?

Nagle zrobiło mu się głupio. Mała ma pewnie rodziców, którzy uczą ją dobrego wychowania, a on zachowuje się jak cham. Nie, to przesada, ale w każdym razie ona dotąd nie wie z kim ma do czynienia. Wyprostował się, ujął ją za rękę, pocałował i powiedział:

– Bardzo panią przepraszam, że dotychczas się nie przedstawiłem. Nazywam się Jerzy Waligórski, magister inżynier z Zakładów Narzędzi Pomiarowych. Czy teraz pani się ze mną umówi?

– Dobrze, ja przyjdę.

– Bardzo mi na tym zależy, Teresko.

– Mnie też – odparła z tak wyraźną szczerością, że aż go to zaskoczyło. Patrzała na niego, jakby coś jeszcze chciała powiedzieć. Czekał, mile podekscytowany. – No, to przyjdę – powtórzyła zdecydowanie.

– Do widzenia.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już jej nie było. Zmieszała się z tłumem gości barowych, mignął w drzwiach granatowy płaszcz, ale kiedy przecisnął się do wyjścia i stanął na chodniku, nie dojrzał jej nigdzie. Widocznie wskoczyła do tramwaju albo złapała taksówkę.

Wolnym spacerowym krokiem poszedł w stronę domu.

*

Kapitan Szczęsny poruszył się niecierpliwie i odgarnął z czoła jasne, prawie białe włosy. Przy tych włosach dziwnie odbijała jego śniada cera i czarne oczy, głęboko osadzone pod wąskimi brwiami.

Odsunął na bok zdjęcia, przedstawiające wnętrze jakiegoś mieszkania, w którym wszystkie rzeczy był powyrzucane na podłogę, meble porozsuwane na boki, a całość wyglądała jak po najeździe Tatarów.

– Oni przecież zawsze działają tą samą metodą – powiedział ze znużeniem w głosie.

– Oni? – spytał ze zdziwieniem sierżant Tuczyński, siedzący po drugiej stronie biurka. – Myślicie, kapitanie, że było ich kilku? Znaleźliśmy tylko jedne odciski linii papilarnych.

– No więc co? – rzucił Szczęsny zaczepnie. – Jeden z bandy zapomniał w domu rękawiczek.

– Obywatel kapitan żartuje – chłodno stwierdził podoficer. Był urażony.

– Wcale nie mam ochoty do żartów. Jest to już trzecia kradzież na dużą skalę w ciągu ostatnich miesięcy. Żadna z tych trzech nie została przez nas wykryta, nic, śladu po przestępcach, jak kamień w wodę. Po co my siedzimy w komendzie? Do diabła z taką robotą.

– Nie prowadziłem dochodzenia w tamtych kradzieżach. A ta była dopiero dziś w nocy.

– Dobra, w porządku... – Szczęsny wstał, przeciągnął się i swoim zwyczajem przysiadł na brzegu parapetu. – Kto to jest, ten cały właściciel lokalu?

– Adwokat. Nazywa się Kazimierz Bieliński, pracuje w szóstym zespole. Zamożny gość. Żonaty, jedna córka zamężna, nie mieszka z rodzicami, tylko u teściów.

– Pokłócili się?

– Nie wiem – odparł sierżant ostrożnie. Stanowczo kapitan za wiele żąda. Może jeszcze zapyta, w kim się kocha adwokato.

– Więc w domu jest mecenas, jego żona... co ona robi?

– Nic. Mają gosposię.

– Dwie kobiety i pan domu. Gosposia młoda? Ładna?

– A, taki stary grzyb. Wygląda pocziwie.

– To bardzo źle – rzekł Szczęsny surowo. – Ludzie, wyglądający pocziwie, zwykle mają coś na sumieniu. Więc mieszkają we trójkę. Kiedy nastąpiła kradzież?

– Komendę zawiadomiono, to znaczy, zawiadomił adwokat, o godzinie – Tuczyński zajrzał do notesu – dwanaście minut po pierwszej. Radiowóz był u nich... był u nich dwadzieścia po pierwszej.

– Ejże – mruknął Szczęsny z niedowierzaniem.

– Tak zapisał dyżurny. Ja tam pojechałem z ekipą zaraz po ósmej rano. Wróciliśmy pół godziny temu. Odbitki jeszcze wilgotne.

– Widzę. No i co?

– Gdyby ekipa pojechała w kilka minut po zawiadomieniu, na pewno by się znalazło to i owo. A tak... Wprawdzie adwokat mówił, że nic nie ruszyli, położył się tylko spać, nie dotykając niczego, ale ja tam im nie wierzę. Albo to kto wytrzyma we własnym mieszkaniu, żeby czegoś nie dotknąć, nie przesunąć?

– Dlaczego dyżurny nie powyciągał was z łóżek?

– Coś tam mówił, że nie miał kogo posłać, a mój telefon jak raz nawalił. Stało się, kapitanie, trudno. Nie mogę nawet dyżurnego objechać, bo wyższy stopniem.

Szczęsny wybuchnął śmiechem.

– Ot, zmartwienie. Opowiadajcie dalej. Gdzie byli gospodarze w nocy?

– W „Grandzie”, na Kruczej. Obchodzili jakąś uroczystość rodzinną, byli w dużym towarzystwie.

– Czy ktoś mógł o tym wiedzieć przedtem?

– Tak, mecenas mówił, że stoliki zamówił tydzień naprzód.

– A gosposia? Też była w „Grandzie”?

Sierżant uśmiechnął się. Widać kapitanowi przeszło, Dzięki Bogu.

– Spała. Tak spała, że nie słyszała, jak wynieśli pół mieszkania.

– Cwaniaki. Muszą mieć jednak dużą wprawę. Co zabrali?

Podoficer sięgnął znów do notesu.

– Dwa sznurki pereł, prawdziwych...

– O imitacjach możecie nie czytać – przerwał Szczęsny.

– Jeden pierścionek z szafirem, praw... tego, męski pierścień z sygnetem, czterdzieści tysięcy i dwieście złotych polskich, cztery garnitury męskie, wełniane, futro z nurków damskie, dwa srebrne lisy razem spięte, jednaście koszul męskich popelinowych i jedwabnych, bieliznę damską... adwokatowa nie pamięta ile tego było, mówi, że dużo. Zegarek – złota Doxa, męski, aparat fotograficzny Leica... czytać jeszcze?

– Dobra, nie warto. Kilka pełnych walizek musieli wynieść.

– Nie. To znaczy, walizek nie ukradli, mimo że stały w pawlaczu. Wątpię, żeby taszczyli ze sobą własne. Są ślady jakby wleczenia, a w kurzu znaleźliśmy nitki lnu czy konopi, więc chyba mieli worki. Nawet się im dziwię, bo z workami gorzej iść przez ulicę, bardziej podpada.

– Na pewno nie szli. Musieli mieć na dole samochód. I gosposia nic nie słyszała?

Zdrowy sen ma ta babka. O której gospodarze wrócili?

– Zapodają, że...

– Nie mówi się: zapodają. Potem cała prasa się z nas śmieje.

– A jak?

– Mówią, podają. Skąd wyście w ogóle wzięli to „za”?

– Ja tego nie wymyśliłem. W każdym protokole tak piszą. Niech będzie bez „za”, co mi zależy. Więc podają, że o pierwszej.

– Otworzyli drzwi bez żadnych trudności, kluczem? Czy były otwarte?

– Były zamknięte. Otworzyły się gładko, bez oporu, jak zwykle. Wygląda na to, że złodzieje mieli podrobione klucze.

– Tak. To nam nieco utrudni sprawę. Kto ma w domu klucze?

– Wszyscy troje.

– Nikt ostatnio nie zgubił, choćby na krótko, gdzieś w sklepie, czy może komuś pożyczał?

– O to jeszcze nie pytałem.

– Zadzwońcie tam sierżancie... albo nie. Pojedziemy do tego mieszkania. Ktoś z nich chyba będzie w domu.

*

Zanim zadzwonili do drzwi, Szczęsny długo i uważnie oglądał je od zewnątrz, przyświecając sobie latarką, bo na schodach panował półmrok. Wreszcie wyprostował się i przycisnął dzwonek.

W domu była mecenasowa i gosposia. Bieliński wyszedł do zespołu, ale miał wrócić za pół godziny.

– Zostaliśmy zupełnie bez pieniędzy – powiedziała pani Krystyna, przygryzając wargi z zażenowaniem. Widać było, że to wyznanie przychodziło jej z trudem.

– Na ile państwo oceniają straty wynikłe z kradzieży? – spytał kapitan, wchodząc wraz z sierżantem do pokoju. Widział ten pokój przedtem na zdjęciu, ale z trudem go teraz rozpoznał. Meble były już poustawiane, dywan na podłodze rozpostarty, szafy zamknięte, szafy w których pozostało niewiele...

Mecenasowa bezradnym ruchem rozłożyła ręce. Na jednym palcu miała duży pierścion z krwawo połyskującym kamieniem.

– Widzi pan – pokazała oficerowi – to jedyna biżuteria, która mi została. A straty? Nie mam pojęcia. Mąż coś tam obliczał... Chyba ponad dwieście tysięcy, licząc samą biżuterię i ubrania. Ten typ aparatu fotograficznego kosztował w sklepie komisowym prawie szesnaście tysięcy.

Szczęśny dosłyszał leciutkie westchnienie stojącego za nim sierżanta i uśmiechnął się. Dobrze wiedział, co myśli w tej chwili ten skromny podoficer, którego półroczna pensja zaledwie starczyłaby na taki aparat.

– Proszę, może panowie zajmą miejsca – wskazała im foteliki. Sama przysiadła na taborecie przed pianinem. – Jak pan sądzi – zwróciła się do Szczęsnego, który był w cywilu, ale przedstawił się jeszcze w korytarzu i zapamiętała jego stopień – czy... czy da się coś z tego odzyskać? Chociaż część?

Patrzyła na niego błagalnie. Miała ładną, świeżą twarz zdrowej blondynki, nie wiadomo po co przemalowanej na rudo, prosty nos, pełny podbródek. Duże zmysłowe usta były nieumalowane; nie miała również lakieru na paznokciach. Ocenił ją na dwadzieścia pięć- sześć lat i zaciekał się nagle, jak też wygląda mąż tej kobiety.

– Trudno mi panią zapewnić, że tak – odparł – ale będziemy się starać. Czy nie ma pani żadnych podejrzeń?

Potrząsnęła głową. W oczach jej mignął jakiś cień niepokoju i natychmiast znikł.

– Nie, nikogo nie podejrzewam. Nasza gosposia to dawna niania mego męża, staruszka najpoczciwsza w świecie. Nie ma krewnych, którzy by do niej przychodzili. No, a nasi krewni czy znajomi, pan chyba rozumie, że nie mogą... – uśmiechnęła się blado, zamilkła. – Nie, proszę pana. To musieli być jacyś bandyci, którzy dowiedzieli się, że nasz dom jest zamożny i włamali się nocą, korzystając z nieobecności gospodarzy.

– Powiedziała pani: włamali się. Ale przecież drzwi były nieuszkodzone?

– Owszem, drzwi były tak zamknięte, jak myśmy je zamknęli wychodząc. Przynajmniej tak myślę – poprawiła się zaraz. – Nie potrafię tego udowodnić.

– Widać, że pani jest żoną prawnika – uśmiechnął się. – Czy gosposia spała, kiedy państwo wychodziliście? I o której to było?

– O wpół do ósmej wieczór. Nie spała, ale była zajęta w kuchni, więc nie zamykała drzwi za nami. W każdym razie, wchodząc do mieszkania w nocy, absolutnie nie spodziewaliśmy się, że coś jest nie w porządku. Dopiero kiedy weszliśmy do pokoju... Wszystko było poprzewracane, szafy otwarte, część ubrań i bielizny na podłodze. Ten pan – wskazała na sierżanta – widział, może powiedzieć.

– Kto z państwa nosi przy sobie klucze?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU
ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI